















PODANIA

PODANIA  
Z DALEKIEJ I BLIŹSZEJ PRZESZŁOŚCI

PODANIA

Z DALEKIEJ I BLIŹSZEJ PRZESZŁOŚCI

---





PODANIA  
Z  
DALEKIEJ I BLIŹSZEJ PRZESZŁOŚCI

ZEBRAŁ

JAN NAJ

---

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 76  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA

1906



4933

Drukarnia Rubieszowskiego i Wrotnowskiego w Warszawie.

Było to dawno, bardzo dawno, jeszcze przedtem, nim Jehowa dał życie tym swoim dziatkom, na obraz i podobieństwo Swoje stworzonym, co tyle Mu później zmartwień i zgryzoty przyczyniły i przyczyniają, więc miał dużo czasu, myśl swobodną, masę inicjatywy i tworzył bez końca.

Już ciała niebieskie latały po przestworzu, jak te pary, walczące po balowej sali, z tą tylko różnicą, że o nic nie potraçały i nic nie wywraçały. Byli już Aniołowie, podzieleni na hufce, pod komendą Archaniołów. Dyscyplina w tej gwardyi przybocznej wielce szwankowała, jakkolwiek wodzowie wszelkich usiłowań dokładali, żeby ją utrzymać, ale na przeszkodzie im stała wielka dobroć Jehowy, powtóre, że nie mogli karać śmiercią, bo żołnierze byli nieśmiertelni, a bez tego środka, jak wiadomo, żaden największy wódz karności w wojsku nie utrzyma. Uciekano się do innych środków: w razie, jeżeli jaki aniołek już coś bardzo przeszkrobał, pozbawiano go anielskiej godności, nie dopuszczano na wieczne czasy oglądać oblicze Stwórcy i zsyłano



go na jedną z planet, wzbraniając mu przenoszenia się na inne części wszechświata, i w tym celu podcinano mu skrzydła. Odtąd nosił nazwę szatana. Niewiele jednak sobie z tej kary robiono. Napatrzyć się na oblicze Stwórcy mieli dosyć czasu, a konieczność pozostawiania na jednej i tej samej planecie, chociaż im ciążyła, ale za to doznawali więcej swobody, nie będąc ciągle na oku. Od czasu zaś, kiedy się rozniosła wiadomość, że będą stworzone Półbożki, karyera szatana stała się nęcącą, bo się spodziewano, że te nowe twory staną się źródłem uciech dla duchów ciemności. Nie wiedziano tylko, która z planet odbierze ten dar nowy, ale przypuszczano, że nią będzie ukochany przez Jehowę Raj i wszelkimi sposobami starano się tam dostać.

Był dzień urodzin Jehowy, bo, choć Jehowa nigdy się nie rodził, ale dla nadania większego majestatu swej osobie wyznaczył dzień i kazał go uroczystie obchodzić. Śpiewały chóry aniołów, ale tą razą tony melodyi nie zadawały Jehowę, bo się skrzywił i po skończeniu zapytał kapelmajstra, co to za nowy muzykalny utwór? Na co maestro odpowiedział, że to „muzyka przeszłości“.

— Jesteś Niemiec — w żartobliwym tonie wyrzekł Jehowa. Co miało znaczyć, że tę muzykę tak trudno pojąć, jak mowę niemego.

Po śpiewie nastąpiła deklamacja. Wystąpił

anioł-poeta i zaczął z przesadną intonacją wy-  
wiadać swe utwory:

Widzę lasy, widzę góry,  
Niezmierzone morza głębie,  
Widm szeregi, świat ponury  
Trwożą serce me gołębie.  
Widzę własne swoje cienie  
I w nich czerpię me natchnienie.  
Słyszę, niby śpiew ptaszyny,  
Niby jęki potępieńca,  
Lub syczenie tej gadziny,  
Co obwija w kształcie wieńca  
Moją głowę, pełną marzeń,  
Sprośnych szeptów, silnych wrażeń.  
Czuję, czuję, śmierć się zbliża,  
To znów życia tętno bije,  
Duch się wznosi, potem zniża,  
To znów czuję, jakby zmije  
W mojem sercu gniazdo wiły;  
Znieść te męki nie mam siły.

Skończył i jakiś czas pozostał w omdleniu.

— Słyszałem, że mówiłeś, ale nie wiem, coś po-  
wiedział—rzekł Jehowa.

— To poezya nastroju, i tylko dusze, harmonij-  
nie z moją nastrojone, mogą ją pojąć—odpowiedział  
poeta.

— Dobrze, że wiem—odparł Jehowa—stworzę  
alkohol, który będzie uspasabiać do pojmowania  
twych arcydzieł.

Mówiąc to, Jehowa spojrział w okno i wzrok

swój skierował w stronę planety Raj. Z lubością patrzył na jej bieg miarowy, jak, ocierając się prawie o niebo, nigdy go jednak nie dosięgała. Był to wielki tryumf niebieskiej mechaniki, i Jehowa miał racyę nim się szczycić.

Pogoda była iście niebiańska. Powietrze tak czyste, że z nieba można było łatwo spostrzedz najmniejszy przedmiot na planetach, i Jehowa widocznie coś dojrzał, bo skinął na anioła-pazia i rzekł mu:

— Widzisz tę czarną plamę na planecie Raj? nie pojmuję, coby to mogło znaczyć? Nie może to być krater, bo na mym rysunku nie wskazałem tam wulkanu. Poleć i zobacz.

Anioł skrzydła rozpuścił i frunął lotem jaskółczym. Niedługo bawił i po powrocie stanął przed obliczem Jehowy.

— Czem się okazała ta czarna plama? — spytał Jehowa.

— To Belzebub leżał z rozpuszczonemi skrzydłami—odpowiedział anioł.

— Belzebub? Skąd on się tam wziął? Wszak go kazałem wysiedlić na planetę Saturn—zauważył Jehowa. I zwracając się do archanioła Michała, który stał opodal, powiedział:

— Czy słyszysz, Belzebub już się dostał na planetę Raj.

— Tak jest. Miłościwy Panie — odrzekł Archanioł, opuszczając skrzydła, jak tego wymagała etykieta w Niebie.—Stało się to najniespodziewaniej,



bo, chociaż ten łotr został wysłany pod silną eskortą, z doborowych aniołów złożoną, ale tak potrafił omanąć swych stróżów. że się zbłąkali w przestworzu i dostawili go do Raju zamiast na Saturn. Niezwłocznie stosownie do przepisów dopełnili obrządku podcięcia skrzydeł, by nie mógł bujać w krainie eterów. Obecnie trudnoby było go osiedlić na Saturnie: musieliby aniołowie nieść go na swych barkach.

— Niech zostanie—rzekł Jehowa i dodał—choć ten zuchwalec nie godzien przebywać na moich planetach i należałoby go pomieścić w bezpowietrznej przestrzeni, by mu chłód dobrze doskwierał, ale wtedy musiałbym zmienić ustanowione prawa ciężenia, a z ich zmianą nastąpiłby jeszcze większy chaos, niż obecnie panuje.

I, zwracając się do anioła-pazia, Jehowa zapytał:

— Ale cóż tam robił Belzebub?

— A Pan Bóg jego wie!—odpowiedział anioł.

— Kiep jesteś, żebym wiedział, tobym się nie pytał—rozdrażnionym głosem odparł Jehowa.

— Przebacz, Panie, moją nieudaną odpowiedź—z przestraczem w głosie powiedział anioł—ale u nas między aniołami jest zwyczaj, że, jeśli czego nie rozumiemy, to mówimy, że to Wasza Boskość wie.

— Czy wiesz przynajmniej, w jakiej części Raju byłeś tą razą?—spytał Jehowa.

— Nie wiem, Miłościwy Panie — rzekł anioł—ale ostatnimi czasy tak wiele nowych światów stwo-

rzyłeś, że nasz profesor geografii może tylko w ogólnych zarysach opowiedzieć o Twych tworach.

Tu Jehowa zawołał z oburzeniem:

— Więc to moja wina, że jesteście nieuki. Według was zanadto pracuję. Chcecie, żebym tak strajkował, jak to wy czynicie, gdy wam zachce się czegoś takiego, czego nawet moja wszechmocność dać wam nie potrafi. Ale poczekajcie. Z czasem stanę się Jowiszem, a wtedy będę was grzmocić. Korzystacie, że, tworząc was nieśmiertelnymi, pozbawiłem siebie możności zmieniać was w drzewo, kamień lub oddać robakom na zjedzenie. Nie myślcie jednak, że ukarać was nie potrafię, albo że karać będę pozbawieniem was prawa czerpać u studni mądrości. Wiem, że o to wam najmniej chodzi. Skrzydła wam poobcinam, a że nie umiecie chodzić, będziecie pełzać, jak te gady.

Wypowiedziawszy taką reprimandę, Jehowa prędko ochłonął z gniewu i zapytał:

— Przynajmniej czy widziałeś, jak ten kraj wygląda?

— Nieświetnie, Miłościwy Panie — odpowiedział anioł z miną wielce skruszoną. — Piaski takie, że, nie bacząc na moją lekkość, zagrzałem w nich po kolana. Kamieni wiele i takie ostre, że o nie skrzydła me uraził. Jest tam wielka rzeka, która w zwykłym czasie prawie sucha bywa, ale gdy wzbierze, to cały kraj pustoszy, padają olbrzymie dęby, wałą

się niebotyczne sosny, a ile pospolitego drzewa ginie, tego i zliczyć nie można.

— Teraz już wiem, gdzie byłeś—powiedział Jehowa. Tam osiadzie część tych istot, co mam wkrótce stworzyć. Będzie ona miała cechy odpowiednie do charakteru miejscowości. Będą kręcić z piasku biecze, z kamienia budować zamki na lodzie i będą mieli usposobienie tej rzeki, bo, choć w zwykłym trybie życia gnuśni i niezaradni, ale w stanie szału, pełni zapału, sami siebie niszczyć będą. A gdy już dostatecznie nabroją, będą uciekać się pod moją obronę i błagać o hufce anielskie dla poskromienia ich wrogów, będą petycyami zamećzać mych zastępców, których z czasem ustanowię. Nic jednak nie wskórają. Tworząc, pozbawię ich zmysłu samozachowawczego, którym będą obficie obdarzeni ich sąsiedzi. A pozbawić muszę, bo istnienia takiego typu wymaga Harmonia Wszechświata, która z różnorodnych tonów stwarza akord na chwałę Jehowy, w tym akordzie będą się zmieniać tony, jedne ginąć, nowe się zjawiać, na koniec akord przejdzie w jedną nutę, którą Archanioł ogłosi koniec świata. Świat zginie i na jego szczątkach nowy, doskonalszy stworzę. Taka moja wola i tak będzie.

Aniołowie słuchali z podziwieniem objawień Jehowy i zaśpiewali chórem hymn niebiański: „Wielki, wielki Pan Zastępców“.

Po wysłuchaniu hymnu Jehowa zwrócił się do archanioła Michała:



— Mój waleczny wodzu, wiem, że masz zamiar udać się dziś na planetę Raj, do kraju, który oddałem pod twoją wyłączną opiekę. Tam obok, w stronę ruchu słońca, znajduje się miejscowość, gdzie Belzebub, według słów pазia, przebywa. Spójrz, co ten łotr tam uczynił.

— Wedle rozkazu — odpowiedział Archanioł, podjął swe skrzydła i poleciał w przestrzeń lotem spadochronu, miarowo, poważnie, jak przystało na takiego dostojnika. Już był blisko planety, kiedy silny wiatr od wschodu nie dopuścił go do kraju, którym się opiekował, a zniósł do miejscowości, gdzie anioł widział Belzebuba. Poznał to miejsce po śladach szatańskich pazurów, które się na piasku uwydatniały. Samego Belzebuba już nie znalazł, ale woddali spostrzegł jego postać, zmykającą w stronę północy. Archanioł zrobił znak w powietrzu i zawołał: „Vade satana“. Nie chciał się spotykać z tym jegomościem, nie dlatego, żeby się bał, ale, znając jego bezczelność, wołał uniknąć pewnych drażliwości, łatwo mogących wyniknąć przy spotkaniu się z tym włóczęgą. Wszakże to były oficer jego hufca, który go nieraz zastępował i radą wspierał.

Chcąc jednak dokładnie zbadać, czem się zajmował Belzebub, Archanioł dał znak, żeby mu przysłano aniołów do pomocy. Ci niezwłocznie się stawili i stosownie do rozkazu wodza zaczęli piasek skrzydłami rozmiatać. Wkrótce wygrzebano jamę

i na dzień jej ujrzano jakiś przedmiot, podobny ze kształtów do ziarna.

— Nie dotykać, to bomba—zawołał Archanioł, ale wnet się pomiarkował i spokojniej dodał—choć jej wybuch nie może nas zabić, bośmy nieśmiertelni, ale może źle wpłynąć na nasz subtelny system nerwowy.

I kazał jamę zasypać. Aniołowie zamachali skrzydłami i w jednej chwili ślad zaginął, gdzie ziarno położone. Archanioł oddał komendę:

— Baczość, fruń do nieba.

I ręce swe rozstawił. Aniołowie, podparłszy głowami ręce wodza, podnieśli go do góry.

Bo taki był zwyczaj w niebie, że zwierchnik swym ciężarem przygniatał podwładnych i na ich głowach wznosił się do góry.

Archanioł, po powrocie z wyprawy, stanął przed obliczem Jehowy. Zamilczał o bombie i o swym strachu, powiedział tylko, że Belzebub położył w piasek jakiś przedmiot, którego istoty on określić nie może.

Lat niewiele minęło, tak jakichś kilkanaście tysięcy, i Jehowa doprowadził mechanizm Wszechświata do doskonałości. Ciała niebieskie latały w przestrzeni i zjawiały się o tej samej porze na tych samych miejscach, jak ten stary urzędnik w swoim biurze. System słoneczny był hojnie upo-

sażony w różne twory i wszystko to ściśle obliczone i do miejscowych warunków zastosowane. I planeta Raj dostała w udziale masę zwierząt, roślin i drogich i niedrogich kamieni. Ale Jehowy to nie zadawała, chciał swą faworytę czemś niezwykłym obdarzyć. Postanowił więc stworzyć istotę na obraz i podobieństwo Swoje, nie dając jej jednak nieśmiertelności, bo już się na aniołach sparzył, i ten nowy utwór osiedlić na swej ukochanej planecie. Co zamyslił—spełnił. Wziął kawał gliny, palcem parę razy maznął, chuchnął, dmuchnął i nowa istota świat ujrzała. Nazwał ją Półbożkiem.

I postać to była nielada. Wzrostu olbrzymiego, z głową do góry podjętą, o sprężystych i miarowych ruchach, jedno tylko było niemiłe, że w głowie klekotało, jakby w niej niezupełnie pełno było.

Jehowa obejrzał swój twór i widocznie został zadowolony, bo nic nie znalazł do zmiany, i rzekł do Półbożka:

— Oto ta cała planeta, co się Rajem zowie, będzie twoją posiadłością, wszystko, co jest na niej, musi ci ulegać, czyni, co ci się podoba, a co uczynisz, będzie zgodne z moją Wolą.

Skłonił się Półbożek, bo grzeczność była u niego cechą wrodzoną, nic nie powiedział, bo jeszcze nie nabrał wprawy w przemowach, i poszedł oglądać swe posiadłości. Gdy się zbliżał, skały drżały, wody z brzegów występowały, rośliny się pochylały, a zwierzęta, jak kto mógł i umiał, hołd mu składa-



ły. I miło mu było zeznawać, że robi takie wrażenie. Więc chodzi tędy i owędy, żeby go jak najczęściej spotykało owacy. Łechtany wonią, w powietrzu rozlaną, wsłuchiwał się w harmonijne dźwięki głosu natury, i wszystko, na co patrzył, widział w różowym świetle, bo oko jego innej barwy nie odczuwało. I tak mu było lekko i dobrze.

Pan na Raju zauważył, że trzeba, będąc władcą, rygor zaprowadzić. Więc urządził cały system hierarchiczny, gdzie silniejszy panował nad słabszym, a na czele wszystkich lwa postawił. Czuł się jednak w obowiązku bronić słabych od nadużyć władzy: kazał więc tygrysowi rozerwać wilka za to, że zjadł owcę. Zauważył, że należy przestrzegać moralności, więc kazał na pal wsadzić świnię, co pożarła swe prosięta. Zauważył, że trzeba krzewić oświatę, więc kazał pudlom uczyć baranów psich sztuk. Prędko się jednak przekonał, że wszystko to na nic się nie zda. Wilki nie przestawały dusić owiec, świnię pożerały swe potomstwo, a barany, jak były głupie, tak i zostały. Jeden tylko ustrój hierarchiczny odrazu puścił korzenie, bo silni dusili słabych niemilosierdzie.

Stracił więc Półbożek ochotę do wszelkiej czynności, położył się na murawie, kazał zwierzętom przynosić jadło i napoje, które spożywał. Resztę czasu, jeśli nie spał, spędzał na rozmyślaniu, jakby to on świat urządził, jeśliby był Bogiem, a nie Pół-

bożkiem. Taki tryb życia musiał wywołać znudzenie, takie myśli mogły doprowadzić do obłądu.

Widząc to, Jehowa zamierzył dać Półbożkowi towarzyszkę, któraby swemi wymaganiami pobudziła go do czynności, swem obcowaniem uchroniła od znudzenia, a swem lekceważeniem wybiła mu z głowy, że jest arcymądry.

Pewnego ranku Półbóg obudził się i ujrzał nad sobą pochyloną postać, podobną do niego, tylko z niektórymi odmianami, w tej liczbie długi warokocz spadał jej na plecy, jako znak poddaństwa.

Legenda mówi, że ta para miała swe imiona. On się zwał Adamem, a ona Ewą. Ścisłe badania obalają to twierdzenie, bo w rzeczywistości on się zwał Mada, co znaczy takiego miękusza, który co ma, to da, a ona Awe, co znaczy: bądź pozdrowiona, bo temi słowy Mada ją powitał. Taka zmiana imion powstała z bardzo prostej przyczyny. Legenda przeszła do nas od Greków, Grecy ją mieli od Izraelitów i wiedzieli, że ci piszą odwrotnie, myśleli więc, że i to, co mówią, trzeba wspak tłómaczyć.

Jednak w dalszym ciągu naszego opowiadania będziemy używać nazw utartych, tembardziej, że od tego charakter osobistości nie zmieni się, bo:

Czy Adam, czy Mada—pantofel nielada.

Czy Ewa, czy Awe—babisko ciekawe.

W chwili, gdy Adam ujrzał Ewę, ukazał się anioł i przemówił:

— Jehowa, idąc za głosem swej dobroci bez granic, pozwala wam czynić, co się podoba; czego zapragniecie, będzie wam dano, o czym zamierzycie, spełni się. Używajcie Jego darów, bądźcie pociechą jedno drugiemu. Nie wolno wam tylko kosztować jabłka z drzewa świadomości dobrego i złego.

Adam, wysłuchawszy słów anioła, ruszył ramionami i pomyślał: bardzo mi potrzebne te jabłka, czy mało i bez nich mamy tu owoców. Ewie zaś przyszło na myśl, że muszą być te jabłka dziwnie smaczne, jeśli tak chodzi o ich zachowanie.

Adamowi towarzyszka przypadła do gustu. I nie dziwo, bo było to dziwnie ponętne stworzenie. Zgrabna, wiotka, wesola, gadatliwa i świetnie się łasić umiała. Udając pokorną służebnicę, robiła, co chciała, ze swym patronem. Łaził sam na drzewa, żeby jej zerwać owoce, łapał strusia i sadzał ją na niego, kiedy chciała użyć przejazdki, drapał ją w piętę, kiedy zasypiała, i czuwał, gdy spała, żeby ją uchronić od umizgów orangutana, włosy jej rozczesywał i na noc warkocze spletał i maścił ją wonnymi olejkami, które sam własnoręcznie z kwiatów wyciskał, i nie zdawał sobie nawet sprawy, kto tu pan, a kto służebnica.

Ale pewnego razu przebrała się miarka. Ewa, rozdąsana jakąś odmową, schwyciła Adama za włosy. Adam się oburzył na takie zuchwalstwo, odtrącił ją i rzekł:



— Jak śmiesz, będąc służebnicą, chcieć trzymać swego pana za czuprynę!

I odszedł zagniewany. Ewa spostrzegła, że za daleko zaszła, chociaż zeznawała, że powoli, ostrożnie można było nie tylko wziąć go za czuprynę, ale i trzymać za nią. Obecnie przemyśliwała, jakby to naprawić. Puszczala się na wszelkie wybiegi. Ale Adam wciąż ją traktował, jako służebnicę, i kazał jej spełniać najniższe posługi, nie darząc nawet podziękowaniem.

Opuśćmy na jakiś czas naszych półbogów, niech się kłócą czy godzą, jak się im podoba, a sami wzniesmy się do Nieba.

W Niebie, jak w każdym dobrze zorganizowanym państwie, była tajna policya. Wydziałem tym zawiadywał archanioł Jerzy, niższe zaś urzędy obsadzały się szatanami, a to z powodu, że tego rodzaju zajęcie niezgodne było z anielską duszą, a oprócz tego potrzebowało sprytu, a w tym czasie, co było sprytnego między aniołami, przeszło na służbę do korpusu szatanów. Działalność tej instytucyi zależała na badaniu sposobu myślenia wszystkich twórców i, jeśli się gdzie okazała nieprawomyślność, a za takową uważało się niespełnianie rozkazów, pochodzących z nieba, nie tyle od samego Jehowy, ile jego sług wiernych, albo krytyka całego ustroju wszechświata lub też nieprzychylnie zdanie o kimś z nieśmiertelnych, bez względu, czy to anioł, czy szatan, to kara niezwłocznie się wymierzała.

Niebianie wrogo się mieli do Adama, a to z przyczyny, że się obawiali jego wpływów na Jehowę, którego łaskę posiadał. Przypuszczano, że zechce się mieszać do spraw niebiańskich, albo, co gorsze, zechce zająć jakiś urząd w niebie, bo, chociaż, według praw niebiańskich, żaden śmiertelnik nie może pełnić obowiązków w niebie, ale gdzie się to nie zdarza, że dla faworytów prawa się gwałcą.

Trzeba więc było tego półbożka, ufnego w łaskę Jehowy, złapać na jakimś czynie, któryby dowodził jego nieprawomyślności. Postanowiono użyć prowokacyi i w tym celu wysłano jednego ze sprytniejszych szatanów, dając mu prawo przedzierzgać się, w co się podoba, i postępować, jak będzie uważał za lepsze.

Z nieba spuścmy się na planetę i spójrzmy, co porabia nasza para. Widzimy: woddali siedzi Adam na kłodzie drzewa z pochyloną głową i patykiem coś rysuje na piasku, bliżej Ewa przyspieszonym krokiem chodzi po ścieżce tam i nazad. Na jej spotkanie po tej samej ścieżce podpełza wąż i przy spotkaniu, zamiast syknięcia, przemawia:

— Jakaś ty dobra!

Ewa minęła, nie zwracając uwagi.

— Jakaś ty rozumna!

Ewa odwróciła się, spojrzała i dalej poszła.

— Jakaś ty piękna!

Ewa zatrzymała się, zwróciła się twarzą do węża, który dalej tak mówił:

— Trzeba mieć oczy, co nie widzą, trzeba mieć uszy, co nie słyszą, trzeba mieć zamiast serca kawał głazu, żeby pogardzać taką, jak ty, towarzyszką, trzeba być głupiem bydlęciem, żeby nie ocenić szczęścia, jakie ty dać możesz. O! gdyby nie moja socyalna pozycya, toby się szatani dziwili, a aniołowie cieszyli z mej miłości do ciebie.

— Miłość nie zna różnicy stanów. Gad jesteś, a mówisz i czujesz, jak Półbożek nie potrafi — rzekła Ewa.

— Nie — odpowiedział wąż — mnie kazano pełzać, tobie w górę patrzeć, nasze drogi nie zejdą się. Mam tylko prawo ubóstwiać cię. Kocham ciebie, chcę twego szczęścia i dam ci radę, jak masz ujarzmić niepokorną wolę twego pana. Usłuchaj mnie.

— Cóż chcesz, żebym czyniła? — spytała Ewa.

Wąż odpowiedział:

— Widzisz to jabłko, co rośnie opodal, zerwij je i niech Adam ukąsi, a potem spożyjcie pospołu. Ta uczta da ci wieczną władzę nad Adamem.

— Ale czyż nie wiesz, że to jabłko to owoc dla nas zakazany? — rzekła Ewa.

— Więc zgrzeszysz. Ale tym grzechem kupisz sobie szczęście. Czyż ono tej błahostki nie warte. Zresztą czy mnie, co umiem się wszędzie przesliznąć, nie stanie konceptu, żeby ci poradzić, jak się masz tłómaczyć. Powiesz, gdy Jehowa cię spyta, po co zjadłś jabłko, żeś tylko zerwała dla zabawy, a twój patron z tego skorzystał, sam zjadł połowę, a do zjedzenia drugiej siłą cię zmusił.



— Ale Jehowa wie wszystko. Czyż można będzie przed nim się ukryć? — odrzekła Ewa. Na co wąż odpowiedział:

— Jehowa może wie, co się dzieje w niebie, ale my, co się czołgamy, wiemy, że on nie wie, co się robi w innych częściach wszechświata. Więc śmiało bierz jabłko. Jeśli kara będzie, to spadnie na twego pana, a jemu należy się ona za krzywdę, którą ci wyrządził. Zresztą, poczekaj, wpełznę na drzewo, obwinę się około gałęzi i swym ciężarem przechyle ją. Zerwij owoc. Niech doznam rozkoszy patrzeć na ciebie, gdy z jabłkiem stać będziesz.

Rozwinął wąż pierścienie, okręcił się koło drzewa i zawisł na gałęzi. Ewa podeszła ostrożnie na palcach, zamknęła oczy i schwyciła jabłko. Ledwie go dotknęła, rumieniec oblał jej lice, oczy zapalały i, jak szalona, pobiegła do Adama, uklękła przed nim i powiedziała:

— Panie, jestem służebnicą twoją.

— Wiem o tem—odpowiedział Adam.

— Panie, rozkazuj, a spełnię twą wolę. Jam twoja.

— Skąd ta pokora?—była odpowiedź.

— Panie, jestem służebnicą twoją i winnam dbać o zdrowie twoje, a dusza twoja chora jest.

— Chcesz, żebym spożył owoc zakazany?—ironicznie zauważył Adam.

Ewa, patrząc swym gorejącym wzrokiem w oczy

Adama, zbliżyła jabłko do ust jego i po chwili rzekła:

— Patrz, tylko zbliżyłam to jabłko do ciebie, a serce twe zaczęło bić mocniej i błogi stan duszy maluje się na twem licu. Cóż będzie, jeśli się niem dotknę ust twoich.

To mówiąc, oparła jabłko o usta Adama. Adam bezwiednie schwycił je zębami, Ewa uczyniła to samo. I owoc zakazany został spożyty.

Waż, ujrzawszy, co się działo, skrył się w zaroślach i w tejże chwili odebrano w wydziale niebiańskiej policji telegram o jednym słowie: „spełniłem“.

Archanioł Jerzy, odebrawszy tę wiadomość, wnet prosił o audyencyę u Jehowy, która mu niezwłocznie została udzielona. Wszedłszy do gabinetu, Archanioł skłonił się i rzekł:

— Mam honor oznajmić Waszej Wszechmocności, że odebrana jest wiadomość o przekroczeniu przez Półboga i jego towarzyszkę Najwyższego zakazu.

— Jaki zakaz, nigdy nic im nie broniłem—odparł Jehowa.

— Zakaz kosztowania owocu z drzewa świadomości dobrego i złego—przechylając głowę, powiedział Archanioł.

— Kiedyż to wzbraniałem jeść owoce, które sam stworzyłem. Cóż, oglądać je tylko mieli? — z wyrazem niezadowolenia odrzekł Jehowa.

— Zakaz Waszej Wszechmocności wydany zo-

stał pod № 2000001. Właśnie go z sobą przynoszę— powiedział Archanioł, podając Jehowie czarną tablicę z białymi znakami na niej.

Jehowa wziął tablicę, popatrzył i wyrzekł:

— Wiecznie to samo. Podesuną mi do podpisu w chwili, gdy myśl ma tworzyć. Podpiszę, nie czytając, a później nie wiedzieć, co wyjdzie. Zniszczyć mi ten rozkaz, a Adama w spokoju zostawić. Niech się cieszy ze swej towarzyszki, bo przyznasz, że jest z czego. Udała mi się.—Po chwili:

— Ciekaw jestem, kto ten zakaz ułożył?

— Jam go napisał — z pokorną miną odpowiedział Archanioł—bo sądziłem, że działałam w myśl Waszej Wszechmocności.

-- Psujecie mi moje wszystkie plany waszymi pomysłami. Kto wymyślił ten rozkaz, niech go i zniszczy—gniewnie wyrzekł Jehowa.

— Ośmielam się zwrócić uwagę Waszej Wszechmocności—z jeszcze większą pokorą powiedział Archanioł—że, chociaż zakaz był wydany bez wiedzy Waszej, ale musiał być zgodnym z Waszą wolą, bo nic bez Waszej woli stać się nie może.

Jehowa chwilę się zamyślił i powiedział:

— Może jest w tem racya. Bo zakaz, choć był wydany przeciw mej chęci, nie może być przeciwnym mej woli. Takie są kardynalne prawa Nieba, i dodał:

— Komu chcesz poruczyć tę sprawę?

— Prokuratorem zrobię anioła, śledczym szata-



na, jako sprytniejszego, tym sposobem anielska poczciwość i złość dyabelska wydadzą sprawiedliwość—odpowiedział Archanioł.

— Niech i tak będzie — rzekł Jehowa i dodał: Proszę mi się tylko nie pastwić nad Półbożkami i pamiętać, że mi Miłosierny, tembardziej, że w tej całej sprawie kto wie, czy nie jestem najwinniejszy.

Archanioł skłonił się i, cofając się, znikł za drzwiami. Po jego odejściu Jehowa półgłosem powiedział do siebie:

— Ten Jerzy to dobry krętacz. Ale nie dziwo, bom tak świat stworzył, że wszystko się kręci.

Archanioł, wróciwszy do swego gabinetu, pociśnął guzik. Małeńki czarcik wnet się zjawił.

— Wezwać Anioła № 6 i Szatana № 5—rozkazał Archanioł.

Bo trzeba wiedzieć, że w niebie urzędnicy byli numerowani, aniołom nadawano numeru parzyste, a szatanom nieparzyste.

Weszli wezwani. Anioł szedł poważnie z wzniesionymi do góry oczyma. Szatan nalegał na jedną nogę z ironicznym uśmiechem na twarzy. Obaj skłonili się, oczekując, co powie Archanioł. Ten rzekł:

— Z woli Jehowy naznaczam ciebie, aniele, prokuratorem, ciebie, szatanie, śledczym. Niezwłocznie udacie się na planetę Raj i tam przeprowadzicie śledztwo w sprawie Adama i Ewy, z zachowaniem wszelkich formalności, przepisanych prawami dla śmiertelników. Nie mówię wam, o co chodzi,

bo, jako duchy, jesteście wszechwiedni. Nie zapomnijcie wziąć z sobą stójkowych szatanów.

— Będę jeden wśród szatanów, mogą nie chcieć spełnić moich wymagań—zauważył anioł.

— My, co oglądamy oblicze Jehowy, zawsze mieć będziemy przewagę nad duchami ciemności—odpowiedział Archanioł i dodał:—Zresztą, kto temu winien? Sami nie chcecie iść na podrzędne stanowiska.

— My, aniołowie, wiemy, gdzie są łyzy, bieda i nieszczęście—machinalnie rzekł anioł.

— My, szatani wiemy, gdzie jest grzech i występki—takimże tonem powiedział szatan.

Były to frazesy, obowiązujące urzędników nieba, stosownie do kategorii, do jakiej należeli. Coś w rodzaju memento mori ojców Kamedułów.

Na tem się skończyła rozmowa Archanioła z podwładnymi.

\* \* \*

Skończyły się na planecie Raj dni wesela. Znikł w duszy Półbożków spokój sumienia i wiara w szczęśliwą przyszłość. Ogarnął ich niesmak użycia, ohyda popełnionego grzechu i bojaźń kary. I wstyd ich był tak wielki, że nie śmieli jedno drugiemu w oczy spojrzeć. I rozdrażnienie tak wielkie, że nie mogli parę słów zamienić, żeby się nie pokłócić. Jedno drugie obwinało, że było sprawcą tego, co się stało. Adam więcej milczał, a Ewa, podrażniona, wciąż dogadywała:

— Prawda, że pierwsza zaczęłam igrać z jabłkiem, ale do ciebie należało mnie powstrzymać. Wszak jesteś moim władcą. Głupstw narobiłeś, a teraz chodzisz, jak mruk. Nie tylko mnie, słabą niewiastę, do grzechu doprowadziłeś, ale nawet teraz słowa pociechy od ciebie nie usłyszę. Obrzydliwe mężczyznisko, egoista, żadnego współczucia dla mej biedy nie masz. I po co mi dał Jehowa za towarzysza taką bryłę kamienną, jejby stać nad brzegiem morza, nad jakimś urwiskiem. Wolałabym stokroć być przyjaciółką psa, wołu, hipopotama, niż tego półbożka. Siedzi to, jak ta małpa bezmyślna, i żadnego dźwięku nie wyda. Fi, obrzydliwy! Czy słyszysz: nienawidzę cię.

I wiele się jeszcze mówiło, jak to zwyczajnie bywa, kiedy niewiasta język rozpuści. Adam, pogrążony w swych dumach, słuchał i nie zwracał uwagi na babskie zrzęczenie. Tylko gdy złość Ewy zaczęła się przejawiać w dotkliwszy sposób, i on jej nie oszczędził.

Przeszło dni kilka, a może godzin kilka, nie wiem, bo wtedy czas się mierzył w inny sposób, niż obecnie. Wrażenia zaczęły się zacierać i Adam z Ewą, niby zgodna para, siedzieli na murawie i ukradkiem spoglądali na drzewo świadomości dobrego i złego, którego owoce zaczęły znów ich nęcić. Na ich twarzach były ślady przebytych kolei. Ewa miała siniec pod oczyma, a Adam znaki podra-



pania. W tej chwili jednak nieźle się już czuli i nie przewidywali, że bieda nie za górami.

Wiadomi nam wysłańcy Nieba stanęli przed nimi. Szatan śledczy wnet wydał rozkaz stojkowym:

— Rozdzielcie tę czułą parę, niech przy każdym z nich stanie was dwóch.—Zwracając się zaś do Adama i Ewy, powiedział:

— A was, moi półbożkowie, stosownie do rozkazu Najwyższego aresztuję.

Śledczy stanął na jednej nodze, podgiął drugą i na niej położył tabliczkę, jakiej używali w Niebie, zamiast papieru. Anioł prokurator stanął za nim i pokrył go skrzydłami.

Śledczy kazał Ewie stanąć opodal i, zwracając się do Adama, zapytał:

— Oskarżony, jak się nazywasz?

— Adam Półbożek —była odpowiedź.

— Czy kosztowałeś owoców z drzewa świadomości dobrego i złego?

— Kosztowałem.

— Czy ci był objawiony rozkaz Jehowy?

— Wiedziałem o nim.

— A więc dlaczego to uczyniłeś?

— Bom wtedy nie wiedział, co czynię.

Na to prokurator zauważył:

— Wszakże jest ci dana siła woli i moc panowania nad sobą.

— Cóż po woli, kiedy się traci świadomość! — odpowiedział Adam.

— Czy przyznajesz, żeś zblądził? — zapytał śledczy.

— Muszę to przyznać, widząc was przed sobą— odrzekł Adam.

Protokół został spisany i przez Adama podpisany. Śledczy, zwracając się do stójkowych, wydał rozkaz:

— Odprowadzić tego jegomościa do barłogu niedźwiedzia i osadzić tam. Niech niewiasta podejdzie.

Ewa z uśmiechem czarującym, igrając oczyma, zbliżyła się. Śledczy zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Ewa.

— Nazwisko?

— Nie mam go, bo jestem służebnicą.

— Czy kosztowałaś owocu z drzewa świadomości dobrego i złego?

— Nawet bardzo mi się podobał— odpowiedziała Ewa z uśmiechem.

— Czy znałaś wolę Bożą co do owocu zakazanego?

— Nie tylko znałam, ale nawet ją czułam.

— Dlaczego przekroczyłaś rozkaz Jehowy?

— Bo mi to nakazał Adam, władca mój, a będąc służebnicą, musiałam pełnić jego wolę. Po co było Jehowie czynić mnie zależną!

— Więc się przyznajesz do winy? — zapytał śledczy.

— Chociaż nie mam już prawa powiedzieć, że jestem niewinną, ale winną nie jestem — odpowiedziała Ewa.

— Przewrotna niewiasta — półgębkiem powiedział anioł.

— Coś ma w sobie naszego szatańskiego — nie bez dumy mruknął sobie pod nosem szatan.

Śledczy dał Ewie protokół do podpisania.

— Nie umiem pisać—rzekła Ewa—i to z winy nieba, które jest przeciwne wyższemu wykształceniu kobiet. Pytanie, czy stałoby się to nieszczęście, gdybym była zajęta naukowemi kwestyami!

Śledczy, chociaż, jako szatan, sprzyjał feminizmowi, tą razą czuł się w obowiązku groźnie się odezwać:

— Bezczelna niewiasto, nie bluźnij!

I, zwracając się do stójkowych, dodał:

— Pilnować mi jej i na krok nie odstępować.

— Aniele prokuratorze—zawołała Ewa — pozwól mi odejść do mego pana. Wstyd mój niewieści nie pozwala przebywać z obcymi mężczyznami, tembardziej, że i strój mój nie jest odpowiedni.

— To nie są mężczyźni, lecz duchy bez ciała — rzekł śledczy.

— Które się mogą wcielać w jakie chcą postacie—zauważył anioł i dodał: Zaiste, tu jest cnota w niebezpieczeństwie.

— Ładna to cnota, co nie spełnia Najwyższych rozkazów — odparł szatan.





— Kolego, cnota nie jest w twoim wydziale i nie znasz się na niej. Z mocy mego urzędu pilnowania cnoty wymagam, żebyś zadośćuczynił prośbie oskarżonej — głosem stanowczym powiedział anioł.

Szatan zgrzytnął zębami i rzekł:

— Znam twe prawa i spełnię, co rozkazujesz, ale w tejże chwili posyłam uwiadomienie do wydziału niebiańskiej tajnej policyi, że prokurator uległ niewieścim czarom oskarżonej.

— Jestem duchem bez ciała i w innych nie bywam postaciach — dumnie wyrzekł anioł. — I nikt nie uwierzy, żem mógł uleść chuciom cielesnym. Prędzej moje posądzenie, że prześladujesz oskarżoną, chcąc wymóżyć łapówkę, będzie miało posłuch w niebie.

W tej chwili dał się słyszeć straszliwy pisk Ewy.

— Co ci jest?—zapytał anioł.

Ewa głosem pełnym przerażenia odpowiedziała:

— Stójkowy dotknął się palcem mego ciała, dreszcz mię przeszedł, bo mi się wydało, że znowu kazano mi zjeść owoc zakazany. Aniele, ratuj mnie.

Anioł zrobił znak. Szatani upadli twarzą do ziemi, i Ewa w podskokach pobiegła w stronę barłogu, gdzie Adam przebywał, odwracając się co chwila, by przesłać aniołowi dziękczynny uśmiezek.

Wysłańcy nieba wrócili do siebie.

\* \* \*

Smutny nastrój panował w niedźwiedzim barłogu. Adam siedział ponury i od czasu do czasu, jakby pytając samego siebie, powtarzał: co to będzie, co to będzie! Ewa, podtrzymując ręką brodę, ciągle wzdychała, snać sumienie przemówiło i poczuła całą swą winę i przeczuwała biedę, jaka ich spotka.

Ciężkie chwile przeżywali Półbogi. Tylko znaki sympaty i współczucia, jakie im zwierzęta okazywały, łagodziły choć w części ich złą dolę. I rzeczywiście, te niższe twory, współzawodnicząc z sobą, znosiły im jadło i napoje i, jak mogły i umiały, litowały się nad nieszczęściem swych panów. Niedźwiedź, w którego barłogu siedzieli, nie czując się godnym być pod jednym dachem ze swym władcą, leżał u wejścia, liżąc swe łapy, i mruczał.

Zagrzmiało, piorun uderzył i na planetę opuściły się trzy białe postacie. Pośrodku dorodniejsza, bo na lepszej strawie chowana, była Archaniołem, te, co po bokach, Aniołami.

W tej chwili drzewa się pochyliły, a zwierzęta i ptaki chórem zaśpiewały hymn na chwałę Najwyższego. Adam i Ewa, nie czując się godnymi łączyć swe głosy z głosem całej natury, wyszli tylko z barłogu i, ujrawszy przed sobą wysłańców nieba, stanęli strwożeni.

Jeden z aniołów zawołał: Sąd niebiański idzie, i w tejże chwili zaczęła się sądowa procedura, która się odbyła bardzo prosto, bo nie było świadków,

co swemi zeznaniami sprawę zaciemniają, nie było prokuratora ani obrońcy, co, jak zaczęła malować, jeden na czarno, drugi na biało, to oskarżony, choćby zupełnie niewinny, wyjdzie niezupełnie czystym, ale cokolwiek brudnym.

Archanioł odczytał wyrok następujący:

„My, sąd niebiański, z rozkazu Dzierżyciela Wszechświata, Władcy nieba i Planet, Pana wszech tworów, żywych i nieżywych i t. d., objawiamy wam, Półbogom, niniejszy wyrok:

Ty, Adamie, będziesz pozbawiony wszelkich praw i przywilejów, jakimi się dotąd cieszyłeś. Nie będziesz się zwać Półbogiem, ale człowiekiem, a twe potomstwo—ludźmi, i jesteś skazany na zawsze ty i twoje potomstwo do ciężkich robót.

Ty, Ewo, zostaniesz, jak i byłaś, służebnicą Adama i zwać się będziesz Zła-Ona, co w skróceniu będzie żona, praca twoja będzie lekka, ale na tobie będzie leżeć obowiązek, którego spełnienie przyczyniać ci będzie straszliwe bóle i ciężkie cierpienia.

I wy oboje i wasi potomkowie będziecie ulegać mocy szatanów, i ten tylko dostąpi szczęścia, kto ich potrafi oszukać albo też przekupić“.

Powiedziawszy to, Archanioł rękę wyciągnął i, obracając się dokoła, zawołał:

— I ty, ziemio, po której oni stąpali, i ty, wodo, którą oni pili, i ty, powietrze, którym oni oddychali, bądźcie przeklęci, trzykroć przeklęci. Niech w zie-



mi, w wodzie, w powietrzu rozmnożą się mikroby na udrczenie rodu ludzkiego.

— Amen, Amen! — wykrzyknęli aniołowie i, schwyciwszy Archanioła pod ręce, wzniesli się do nieba. I rozległ się hymn przyrody, ale już nie tak dokładnie odśpiewany. Dały się słyszeć fałsze, dysonanse. To wilk zawył nie w porę, to wrona solo zakrakała.

Adam po wysłuchaniu wyroku osłupiał, stał, jak wryty, i nic nie czuł, nic nie rozmawiał, tylko błęd-nem okiem spoglądał. Na twarzy Ewy malowało się, przeciwnie, głębokie zamyślenie, które się zmieniło w spokój powziętego postanowienia. Gdy cisza zapanowała w naturze, Ewa podeszła do Adama i, zarzuciwszy mu ręce na szyję, rzekła:

— Straciłeś Raj, ale ze mną go odzyskasz.

Adam nic nie rzekł, tylko objął rękami jej kibić i złożył na twarzy pocałunek.

W tej chwili dało się słyszeć: brawo, brawo, bis! To szatani krzyczeli, bo te całusy to woda na ich młyn.

\* \* \*

Została planeta, ale już się nie nazywa Raj, ale tylko ziemia i inaczej wyglądała. Wprawdzie opierał się Jehowa tej zmianie, żał mu było tego utworu, poczętego w artystycznym natchnieniu; ale niebieskie kancelarye, pełniąc wolę Jehowy, nie bardzo się o jego zdanie pytały.

Zostały na ziemi skały, ale mchem porosły. Była woda, ale nie taka przejrzysta. Były drzewa, ale liście często żółkły. Były inne rośliny, ale od czasu do czasu wysychały. Zamiast dawnego zefiru, nastały wszelkie inne wiatry, chłodne lub palące. I zwierzęta, szczególnie drapieżne i nieokrztęte, nie mając silnej władzy nad sobą, dały wolę swym złym skłonnościom.

W czasie, kiedy zaczyna się nasze opowiadanie, na brzegu rzeki stało kilka domków, o ścianach, z chróstu plecionych, gliną oblepionych, o dachu z trzciny wodnej. W tych domkach mieszkał Adam z Ewą, z synami i córkami, bo błogosławieństwo Boże niezupełnie ich opuściło i dało liczne potomstwo.

Adam porządnie się posunął, siwizna przyprószyła głowę, nogi, niegdyś sprężyste, dziś ciągnął za sobą, ale w twarzy został wyraz dobroduszny. Jak dawniej, tak i teraz lubił spokój, niezbyt mu się uśmiechało czynne życie. Pracował, bo musiał, a pracował dużo, szczególnie w czasie, kiedy dzieci małe były, bo trzeba było to wszystko nakarmić i przyrodzić. Lubiał spocząć po pracy, i nic go już z równowagi wyprowadzić nie mogło, nawet gderanie żony. Może dlatego, że za częste było

Ewa także porządnie zbabiała, ale w oczach jeszcze figielki błyskały. Pracy jak najmniej zażywała, szczególnie od czasu, kiedy się miała kim wyręczyć. Ale za to, leżąc na przepieku, szczerze



udzielała nagany wszystkim, kto się na oczy nawi-  
nął i, narzekając na próżniactwo i lenistwo innych,  
dowodziła, że w pracy swe zdrowie sterwała. Gderli-  
wa baba nikogo nie szczędziła. Wyjątek stanowił  
starszy syn, faworycik mamy, który nie tylko nigdy  
nie bywał przez nią łajany, ale sam matki nie  
szczędził.

Adam i Ewa dwóch synów mieli, obaj dorosli  
i potomstwem obarczeni. Podanie zwie ich Kainem  
i Ablem; ale i tym razem zaszła taka sama omyłka,  
jak z Adamem i Ewą. Prawdziwie jeden zwał się  
Nijak, a drugi Leba. Niezwykłe imię pierwszego  
powstało stąd, że po urodzeniu niemowlęcia Ewa  
spytała męża, jak go nazwać. Adam, będąc podraż-  
nionym procesem urodzin, którego świadkiem był  
pierwszy raz w życiu, z niechęcią odpowiedział:  
„nijak“. Ewa przyjęła to za dobrą monetę i tak  
w księgach zapisała. Sprawcy tego wypadku nie  
przypuszczali, że są ślepem narzędziem przeznacze-  
nia, bo choć od Nijaka pójdą i tacy i owacy, ale  
w linii prostej po mieczu będą i Nijacy równie bitni  
i popędliwi, jak ich protoplasta, za którego zbrodnie  
srodze cierpieć będą, bo nieraz padną ofiarą brato-  
bójczej walki.

Nijak był to chłop sążnisty, olbrzymiej budowy  
i straszliwej siły. Nie było takiej głowy zwierzęcej,  
któraby się nie rozleciała, jak ten garnek gliniany,  
gdy po niej Nijak palnął swą maczugą. Lubił on  
łowy, niebezpieczne wyprawy. Deszcz, śłota, mróz



i wiatr nie dawały się czuć jego zahartowanej naturze. Jednego tylko nie znośli, to siedzieć w domu i słuchać, jak niewiasty zrzedzą.

Leba, przeciwnie, był szczupły, niewielkiego wzrostu i z nogami od rachitu powyginanymi. Do sportu wcale nie tęsknił, dzikich zwierząt unikał, hodował kozy i poza obręb domu rzadko się wydał. Ale za to nikt prędzej nie odnalazł zguby, nikt lepiej od niego nie wiedział, gdzie szukać pokarmu i napoju. Leba lubił kolekcjonować rzeczy zdatne do użytku, zdobywając je od rodziców i rodzeństwa drogą wymiany i darowizny. I ta namiętność nagromadzania zgubiła go, jak i wielu gubi.

Pewnego razu Nijak przyniósł z łowów skórę tygrysią i powiesił ją na ścianie w swej izbie. Skórę dojrzał Leba i zapragnął jej. Nic równie cennego w zamian tej skóry nie mógł zaofiarować bratu, więc prosił o darowiznę. Nijak, który nieraz dzielił się z bratem swą zdobyczą, tym razem pod wpływem złego humoru odmówił. Leba jednak we śnie i na jawie śnił o skórze i, korzystając z każdej chwili nieobecności Nijaka, wynosił ją z izby, rozwieszał na płocie i, pocmokując, lubował się nią, obmyślając sposoby zdobycia jej. W czasie jednych z takich oględzin nadszedł znienacka Nijak i powiedział:

- Wszak to moja skóra.
- Nie twoja, ale tygrysia—odparł Leba.
- Ale z tygrysa, com zabił—rzekł Nijak.

— Dlaczego ma być koniecznie z tego mianowicie tygrysa? Czyż mało ich jest w puszczy?— odrzekł Leba.

— Więc cóż, może powiesz, żeś ty go zabił?— zapytał Nijak.

— Może nie zabiłem, ale mogłem zabić—odparł Leba.

— Ty mogłeś zabić! Ty, któremu nie starczy siły zadusić zwykłego kota! — ironicznie zauważył Nijak.

— Czy to koniecznie trzeba zabić własną ręką, żeby mieć skórę? Są i inne sposoby. Można znaleźć zdechłe zwierzę—drwiąco rzekł Leba.

Szydrczy ton mowy Leby rozgniewał Nijaka, a że był popędliwy, więc tak pięścią palnął brata, że ten upadł nieżywy. Zobaczywszy, co uczynił, Nijak wyskoczył, jak szalony, i, wołając: „zabiłem brata“, schronił się do lasu.

Przybiegły niewiasty i zaczęły mdleć i płakać. Przybiegł Adam i, gdy ujrzał, że syn, którego bardzo kochał za jego spokojny temperament i za jego układność, leży martwy, zawołał:

— Jehowa! Za co mnie prześladujesz? Wypędziłeś mnie z Raju, a teraz syna mi odbierasz.

Błysnęło... i dał się słyszeć głos potężny:

— Człowiecze, nie bluźnij, nie jam cię z rajy wypędził, ale moja wola bez mej chęci. Nie jam ci syna odebrał, ale tyś sam pozwolił swojej niewieście,

pobłażaniem i pieszczotami, zabić w waszym pierworodnym władzę panowania nad sobą i doprowadzić go do bratobójstwa. Niech więc będzie on przeklęty do milionowego swego pokolenia. Niech zgody i pokoju nie doznają potomkowie jego, niech bratobójcza wojna będzie ich udziałem. A tobie i twemu synowi, który zginął, wynagrodzę doznaną krzywdę w przyszłych pokoleniach. Od syna Leby zrodzi się naród, który będzie moim wybranym, uczynię go obieżyświatem, i tym sposobem całą ziemię dam mu w posiadanie. Nie będą ani siał, ani orać, ale plony zbierać będą. Im tylko jednym odkryję tajniki alchemii, aby mogli wszystko zmieniać w kruszec szlachetny. Zbrodnia jednak popełniona nie może przejść w niepamięć. Wrogie stosunki braci przejdą na ich potomków, i narody, które zrodził Nijak, a będzie ich wiele, będą pałać nienawiścią do potomków Leby. I wszyscy, choć niby z miłości zrodzeni, nienawiścią żyć będą. O prawdzie będą marzyć, ale fałszem się karmić. Będzie ludzkość, ale ludzkości w niej nie będzie.

Znając opowiedziane wypadki, łatwo sobie wytłómaczyć, skąd się wzięły bratobójcze wojny między narodami, skąd powstał antysemityzm i na czem oparte nadzieje ludu Izraela.

\* \* \*

Przeszło sporo czasu. Jehowa przestał już tworzyć, bo miał i bez tego dużo kłopotu z tem, co



istniało, i brakło mu już ochoty i konceptu. Potomkowie Adama tak się zawzięcie mnożyli, że już prawie całą ziemię zaludnili. Byli biali i czarni, żółci, czerwoni, z prostymi i krzywymi nosami. Niby to się po bratersku ziemią podzielili. Nawet potomkowie Leby swój kawałek mieli, choć długo na niego czekać musieli, bo nawet Obiecaną Ziemią nazwali, skąd jednak prędko ich wyrugowano.

Potomkowie Nijaka, choć każdy wziął kęs ziemi w udziale, nie zadawali się tem, co mieli, palając żądzą posiadania więcej. Stąd ciągle swary i pięść w robocie. Podobny tryb życia bawił szatanów i powiększył ich ilość, bo zachęcał nudzących się aniołów do zmiany pozycyi socyalnej. I wyrabiało to szatańskie plemię prawowitym władcom ziemi figlów co nie miara. Używano wprawdzie wszelkich środków, żeby się uchronić od szatańskiej mocy, robiono znak krzyża, kropiono święconą wodą i nawet używano zaklęć, ale niewiele to pomagało, bo dowcipnisie zawsze potrafili potomków byłych półbożków złapać, jak te wróble, w rozstawione sieci, i każdy złapany, choćby się liczył za najmędrszego, musiał się przekonać, że jest głupi. Jeden się tylko taki znalazł, co dyabła w pole wyprowadził. Za to go nazwano Twardowskim, i musiał być twardy, kiedy się wymknął ze szponów szatańskich.

Na tym kawałku ziemi, gdzie niegdyś Belzebub ziarna założył, zamieszkał naród Nijaków, i kraj ten

zwał się Nijacyą. I nieźle Nijakom się żyło. W rzekach, jeziorach moc była ryb, w lasach zwierzyny, a w barciach miodu. Urządzali więc łowy, sycili miody i pili je, a gdy po wypiciu zagrała krew protoplasty, wszczynali bójki i swady. I sąsiadom nieraz dobrze się dawali we znaki, bo do bójki i skoczy i zręczni byli.

Wśród olbrzymich lasów Nijacyi, tam, gdzie Belzebub ziarna położył, wyrosły sosny, z gatunku „pinus nobilis“, wysokie, o rozłożystych gałęziach, tak że inne drzewa były w ciągłym cieniu, ale pień ich był nierówny, konary niegłębokie, kora popękana i żółtawe, jakby popalone igły. I nie dziwo, bo nie z boskiego, ale z szatańskiego ziarna powstały. Nikt jednak w Nijacyi o to się nie troszczył. Raz tylko jeden z królów Nijacyi, z natury przezorny, za to wielkim nazwany, zrozumiał, że te sosny szkodę robiły reszcie zadrzewienia i w dodatku dojrział na nich jakieś czarne strączki. Chociaż w gruncie rzeczy nie wiedział, czem jest ten nieznany mu owoc, będąc jednak ostrożnym, wolał mieć w swem państwie zwykłe szyszki. Kazał więc poobcinać gałęzie u dyabelskich sosen. Belzebub, nie w ciemną bitą, potrafił obronić swe dzieło. Przed oczyma króla stanęła postać niewieścia, która sobą zakryła i sosnę i strączki. Król, straciwszy z oczu szkodliwe drzewa, zapomniał o nich.

Nieźle się jeszcze Nijakom powodziło. Jedli, pili i Boga chwalili, a jeśli się czasem za łby brali z są-

siadami, to im to na zdrowie było. Aż tu na szatańskich sosnach pokazały się niby zwykłe szyszki, z tą tylko różnicą, że były białe z czarnymi krzyżami. Narazie myślano, że, co z krzyżem, to od Boga, i zaczęto koło sosen grunt ulepszać, aby te owoce większe były i więcej ich było. Wtem powiał wiatr od północy i rozniósł białe szyszki po całym kraju, a gdzie która padnie, tam śmierć i pożoga. Strwożyli się Nijacy, ale nic nie przedsiębrali, bo jeszcze ciągle mniemali, że to od Boga. Aż nakoniec nie stało im cierpliwości i radzić zaczęli, co począć. Ktoś im powiedział, że w ościeniem państwie jest księżę, co na czarach zna się. Rada więc w radę, i stanęło na tem, żeby tego księcia ożenić z ich królową, bo w tym czasie w Nijacyi niewiasta panowała, zacna, pobożna, ale więcej o przyszłym mężu myślała, niż o swem państwie. Zaproponowano księciu, ten nie był głupi i zaraz się zgodził, bo wszak to nie lada był honor panować nad Nijakami. Z królową trudniej było, bo się wzdragala, nie znajdując księcia dość gładkim, ale gdy uznała, że taka być musi wola Boża i że innego męża nie dostanie, zgodziła się. Księżę, jak tylko stał się królem, kazał z różnych części kraju przywieźć moc wody, poświęcić ją i, jak nią lunie na szyszki, to wnet z nich wyszła moc szatańska.

Nastąpiła wielka radość w Nijacyi. Składano dziękczynne modły Jehowie nieba i ziemi; ale się okazało, że nie wszyscy w jeden sposób Boga chwa-



lili, stąd poszły waśnie, kłótnie i niesnaski. Szatani do tej się sprawy wmieszali i dawaj dodawać konceptu to jednym, to drugim, i jak zaczęli podjudzać, to to, co miało być na chwałę Boską, wyszło na poteciechę dyabłu.

Belzebub nie spał. Na jego sosnach pojawiły się chrabąszcze, ale niezwykłego koloru, bo czarne z białymi gardzielkami i ogromnemi głowami. Powiał wiatr z południa i rozniósł to robactwo po całym kraju. Nie było pałacu, domu, dworku, gdzieby się jakiś chrabąszcz nie znalazł. Niewinne to były napozór stworzenia, brzęczały sobie, nic nad to, ale swem brzęczeniem usypiały mieszkańców Nijacyi. Spało się snem błogim, a jak który się obudzi, to chrabąszcz mu brzęknie, i ten znowu zaśnie.

I spało się długo, aż przyszli sąsiedzi i zabrali co komu było potrzeba, a nawet nie potrzeba. Ocknęli się Nijacy, wyniszczyli prawie do szczętu chrabąszczów i poszli odbierać swe mienie od jednego z sąsiadów, wtedy drugi w tył im zaszedł i dalejże płazować, powrócili się twarzą do drugiego, aż tu trzeci taką samą sprawił im łaźnię. Nic im więc nie pozostawało, jak usiąść i tem się od rąków uchronić, chociaż i siedzenie, jak się tego łastwo domyślić, było bolesne. Siedzieli jednak, jak mogli, ochraniając urażone części ciała.

Tymczasem na jednej ze znanych nam sosen usiadł ogromny ptak o krogulczym dziobie i słowiczym głosie. Zaczął śpiewać i tak swym śpiewem

nęcił biednych Nijaków, że ci się ośmielili powstać i podejść do niego. Zdrajcą się ptak okazał, bo każdy, kto się zbliżył, po łbie dostawał. Nie zrażało to jednak Nijaków. Miło widać było nawet ginąć przy słowicznych dźwiękach. Wielu zginęło i jeszcze ginąć miało, ale mroźny wiatr ze wschodu ptaka unicestwił, a Nijaków pokrzepił.

Nastaly lepsze czasy dla Nijacyi. Zdawało się, że życie weszło na szczęśliwszą tory. Znaleźli się mędracy, co, poznawszy dzieje przeszłości, chcieli zniszczyć drzewa z figielkami. Ale nim to uradzono, dyabelskie sosny zaczęły parować i taka mgła zapanowała, że Nijacy stracili kierunek drogi, którą dążyli, i zaczęli się łbami bić o ściany. Mgła opała, i nasi podróżni dopiero się opatrzyli, że zblądzili. Rozproszeni, z guzami na łbach, nie wiedzieli sami, co począć. Jedni udawali się do obcych, prosząc o radę i wsparcie. Rad im dawali co nie miara, o wsparcie trochę trudniej było, a jeśli jaki grosz rzucono, to za to bawiono się ich kosztem, wyciągając na różne śmieszności.

Chcąc się podobać, stawali się pajacami, a takich było sporo, bo od tłuczenia w mur głową wielu głowę postradało. Inni, siedząc na miejscu, zanosili skargę do zastępcy Jehowy na ziemi na haniebne czyny Belzebuba, prosząc o poskromienie go i wskazując dla ułatwienia, w jaką się postać on wciela. Odbierano odpowiedzi mniej lub więcej współczujące, utyskiwano nad ich ciężką dolą, obie-

cywano pomoc w razie pomyślnych warunków, mówiono dużo, pisano jeszcze więcej, ale nic nie zrobiono.

Tymczasem Belzebub, rozjątrzony ciągłymi nawoływaniem na jego zgubę, postanowił dać się we znaki. Na dyabelskich sosnach pojawiły się robaczki, wszystkie, jak jeden, ale tylko z różnego koloru obwódkami na szyi. Powiał wiatr od wschodu i rozrzucił je nie tylko po całej Nijacyi, ale poza jej granicę, gdzie tylko jaki się Nijak znajdował. I zaczęły się robaczki wpijać w ciało Nijaków, gryźć ich, wiercić, dopiekać. Ukąszenia nie były śmiertelne, ale męczące, drażniące i do szaleństwa mogły doprowadzić. Wili się biedni Nijacy, bronili się, jak mogli i umieli, ale nie na wiele im to się zdało. Liczyli na wiatr zachodni, któryby robaczek na wschód, skąd przyszli, odpędził. Błysnęły nawet nadzieje, ale zefirek okazał się tak słabym, że robaczkom żadnej szkody nie wyrządził, a tylko rozsuchwalił.

Przeszedł czas pewien. Nie wiem, czy to robaczki już się zmogły, czy też ich ofiary przez obycie się słabiej odczuwały, ale stan rzeczy w Nijacyi ku lepszemu miał się. Błysła nawet nadzieja, że nastąpi zmiana pogody, przy której robaczki stracą zupełnie swą zjadliwość. Zauważono przytem, że źródło wszystkich bied nijackich, dyabelskie sosny, zaczęły igły tracić. Wstąpiła więc otucha do serc Nijaków, głowę podnieśli, humoru nabrali, bo już



pewni byli, że Jehowa ulitował się nad swymi two-rami, i liczyli, że Belzebubowi dostaną się za jego sprawki dobre cięgi, co ich niezmiernie radowało.

Zaszumiało w Nijacyi. Wszyscy mówili, ale nikt nie słuchał. Wszyscy rozkazywali, ale nikt nie spełniał. I wiele papieru przywozili zza morza, wiele na nim druku było, ale sensu niewiele. Radzono, co robić. Jedni mówili: bądźmy układni, bo pokorne ciele dwie krowy ssie. Inni twierdzili: bądźmy brutalni, to nas bać się będą. Wielu zaś radziło, aby wziąć wszystko od tych, co coś mają, i oddać tym, co nic nie mają. Wtedy nikt nic mieć nie będzie, i wszyscy będą bogaci, bo biedniejszych się nie znajdzie, i wrogowie nam nie straszni będą, bo nic od nas nie dostaną. Nareszcie byli i tacy, co sądzili, że, jeśli gdziekolwiek ktoś z Nijków kiedyś jakiś ślad zostawił, to już to miejsce Nijacyą być powinno i, puściwszy wodze bujnej wyobraźni, mniemali, że są na czele zbrojnych hufców, za pomocą których świat podbijają i sami się staną wszechpanami. A gdy kto powiedział, że psuło się długo, więc i na naprawę trzeba czasu, i że Kraków nie odrazu zbudowany, to go miano za zdrajcę i w twarz mu plwano. Nawet nie milczały niewiasty nijackie i nowych praw dla siebie wymagały, dowodząc, że dość już mają rodzić, wołały za nos wodzić i, przejęte czcią szczególną dla męskości, nawet w zarodku, prowadziły mekronosów, zbrojnych w scyzoryki, do walki ze szkolną ferułą. Takie róż-

norodne dążności, przy popędliwym charakterze Nijaków, musiały wywołać sprzeczki, kłótnie a nawet bójkę. Kraj swój własny niszczyli z własną szkodą, wrogom na pociechę.

Na jakiś czas przedtem, nim szal miał opanować mieszkańców Nijacyi, na suchych gałęziach sosen szatańskich usiadło kilka ptaków, o długich nogach, rudawem pierzu, płaskich głowach i długich dziobach. Nie buńczucznie to wyglądało i skromnie się zachowywało. Nikt na nich nie zwracał uwagi, myślano, ot sobie przybłądy. Gniazda sobie wily i w gniazdach piskłeta hodowały, później zjawili się nowi przybysze i z każdym dniem prawie rosła ilość tych ptaków. Zaczęły się już sadowić nie tylko na szatańskich sosnach, ale na zwykłych drzewach, i wszędzie sobie gniazda wily, a gniazda były niezwyklej budowy, duże, ciepłe i sztucznie złożone. Ptaki wydawały się pożytecznymi dla kraju, były gospodarne, pracowite i mogły służyć, jako przykład, miejscowemu ptactwu. Ucieszyli się Nijacy, bo widzieli w tem pomoc dla siebie, przez Stwórcę przyslaną. Wkrótce jednak musiano się rozczarować; ptactwo wydawało woń, która zgubnie działała na zdrowie mieszkańców. Siły ich opuszczały, a o poprawie stanu zdrowia drogą lepszego odżywiania i myśleć nie można było, bo wszelkie plony, jakie zbierano, ptactwo zjadało. Bronić się od napastników możności nie było, bo do nich przystały i swojskie drapieżne ptaki. Ginęli więc Nija-

cy, a kto przy życiu został, ten żywot pędził mizerny. Na marne zeszedli dawniejsi władcy Nijacyi, i kraj stracił swe odrębne cechy. Nie było już tam bocianów, bo bagna i moczary wyschły, nie było sów i puszczyków, bo na dawnych gruzach nowe budynki stanęły, nie grzęzły konie w błocie, bo drogi bite były, nie było strzech słomianych, bo dachówką kryli domy. Nie było wrzawy i hałasu na zebraniach, bo Nijaków na nie nie puszczano. Nawet samą nazwę Nijacya na Nikland zwieniono. Nowi władcy chcieli nawet dać całkiem odrębną nazwę, żeby nic przeszłości nie przypominało; ale oparł się temu ich Wódz, dowodząc, że należy szanować historyczne pamiątki i tem uświadomić przyszłe pokolenia o bohaterskich czynach ich przodków, by dobrze mogli pojąć, co znaczy „ausrotten“, bo im przyjdzie tę działalność dalej ku wschodowi posuwać.

Cicho i spokojnie było w dawnej Nijacyi. Był ruch, było życie, ale nie było hałasu, waśni i bójek, wszędzie ład i porządek. Raz tylko przyleciał ze wschodu, z dalekich puszczy, olbrzymi orzeł czarny i zaszybował nad dawną ziemią Nijaków. Oczy miał w dół opuszczone i jakby czegoś szukał. Szukał, bo wspomniał, że tu się kiedyś gnieździły orły białe i on sam ich sporo zadziobał, chcąc, żeby swą barwę na czarną zmieniły. Szukał ich, ale nie znalazł. Wyginęły widać. I zachmurzyło się orle oblicze, serce zakrwawiło, sumienie zagryzło, bo on to był



poczęści sprawcą, że ubyło orlego rodu. Spadła  
lża mu z oka, a taka była gorąca, że, upadwszy na  
głowę długonogiego ptaka, czuprynę mu spaliła.  
Ptactwo, oburzone krzywdą towarzysza, zebrało się  
całą masą i napadło na orła; ale orzeł się nie zląkł,  
skrzydła rozciągnął, opuścił się wprost w środek  
ptasiej zgrai, wychwycił z nich kilka i w szponach  
swych uniósł w błękity. Tam je z łap wypuścił,  
tylko się pierze posypało. A sam, zatoczywszy kół  
kilka nad dawną Nijacyą, silnym lotem ku wscho-  
dowi podążył.

Że tak było, to pewne. Czy tak będzie—to py-  
tanie. Ale że tak być może, to kwestyi nie ulega.

Kto ma oczy — niech patrzy. Kto ma uszy —  
niech słuca. A kto ma moc i chęci—niech się broni.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat  
Tel. 26-68-63
















F  
4933